

Marian Flejsierowicz

Życie i zdrowie dobro najwyższe

Pamiętacie zapewne list Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu opublikowany 10 bm. w Gazecie Poznańskiej; fragmenty tego dokumentu przedrukowaliśmy w „Głosie” z 13 marca br. Znalazło się w nim również krótkie omówienie zagadnień dotyczących bezpieczeństwa i higienicznych warunków pracy, których zapewnienie — czytamy w tym dokumencie — „nie stanowi jeszcze powszechnej troski kierownictwa zakładów pracy oraz organizacji partyjnych i związkowych”. Dalej list stwierdza: „Sprawy bhp nie znajdują się jeszcze na codzień w polu widzenia kierownictwa fabryk. A przecież chodzi o rzecz najważniejszą — o życie i zdrowie ludzi. Związki zawodowe powinny z żelazną konsekwencją dopilnowywać realizacji zagwarantowanych przez nasz ustrój zdobyczy ludzi pracy i w tej mierze”.

Ile strat moralnych pociąga za sobą wypadek przy pracy? Na to pytanie nikt nie próbował odpowiedzieć, po prostu dlatego, że to jest niemożliwe. Nie ma bowiem miary, którą można by obliczyć ból spowodowany wypadkiem, cierpienia psychiczne, lzy i zmartwienia najbliższych. Nie ulega jednak wątpliwości, że każdy nieszczęśliwy wypadek niesie z sobą dolegliwości moralne. Mniejszej, kiedy powoduje lekkie obrażenia, a bez porównania większej, dochodzące do rozmiarów tragedii, kiedy staje się przyczyną śmierci. Te straty ponosi nie tylko sama ofiara i jego rodzina, ale również społeczeństwo. Kto zastąpi osierocionym dzieciom ojca, nawet jeżeli znajdą zabezpieczenie materialne? Jak sobie poradzi z trudami wychowania rodzic, który dozna trwałego kalectwa?

O wiele łatwiej mówić o stratach materialnych spowodowanych wypadkami przy pracy. Łatwiej, bo można je wymierzyć. Obliczono, że jeden śmiertelny wypadek kosztuje społeczeństwo milion złotych, a każdy przeciętnie ciężki wypadek przy pracy, powodujący najniższy nawet stopień inwalidztwa — około 200 tysięcy złotych. Koszty te, to nie tylko odprawa pośmiertna i zasiłki pogrzebowe, nie tylko renta inwalidzka czy rodzinna, ale również straty spowodowane ubytkiem człowieka z pracy produkcyjnej. W samym województwie poznańskim (łącznie z Poznaniem) zanotowano w 1960 roku 10.096 wypadków przy pracy, w tym 381 ciężkich i 49 śmiertelnych. W III kwartale 1961 roku (według niepełnych danych) wydarzyło się w zakładach 1.675 wypadków, w tym 334 ciężkich i 13 śmiertelnych, a w IV kwartale tegoż roku 2.137 wypadków (381 ciężkich i 11 śmiertelnych). Wyobraźcie sobie o ile grubych milionów uszczuplił się w ten sposób nasz dochód narodowy!

Inspektorzy działają

Ochrona zdrowia i życia zatrudnionego należy do fundamentalnych zasad polskiego prawa pracy. Znajduje ona swój wyraz w całej masie norm prawnych i instrukcji. Mają one w prawie pracy szczególny charakter. Stosowanie ich jest obowiązkiem przedsiębiorstwa nie tylko wobec pracownika, lecz także wobec całego społeczeństwa. Mało tego. Jest to obowiązek bezwzględny, to znaczy każdy pracownik ma prawo kategorycznie domagać się stworzenia mu warunków zgodnych z przepisami bhp. Realizacji tego prawa służy szereg sankcji poczynając od takich, jak wniosek do organizacji związkowej o poprawę warunków pracy lub skarga do społecznego inspektora bhp, a skończywszy na powstrzymaniu się od pełnienia pracy, jeżeli istnieje bezpośrednie niebezpieczeństwo dla zdrowia lub życia, czy wreszcie na natychmiastowym wypowiedzeniu przez zatrudnionego umowy o pracę (z winy zakładu i z zachowaniem ciągłości pracy!).

Ala, pracownik często woli siedzieć cicho, nie „wychylać” się, nie szukać potem zatrudnienia gdzie indziej, gdzie go nie znają, gdzie będzie musiał od nowa wyrabiać sobie i pozycję i opinie. A zakłady? Z zakładami bywa różnie. W Poznaniu, na szczęście, niewiele jest takich przedsiębiorstw, w których przez cały rok kisi się fun-

cach nie patrząc na to, w jakich warunkach ludzie pracują, zafundować sobie efektywny gabinet bhp. Żeby — w razie wypadku — techniczny inspektor pracy lub co gorsza prokurator, nie zapytał: dlaczego nie dbaliście o bhp?

O niezadowalającej jeszcze sytuacji w naszym województwie świadczy fakt, że w roku 1961 techniczni inspektorzy pracy (działający z ramienia Związków Zawodowych) na 1.796 przeprowadzonych kontroli musieli, właśnie z powodu kiepskiego stanu bhp, wydać decyzję o zamknięciu 17 całych zakładów, 112 oddziałów i wyłączeniu 465 agregatów, a w 334 przypadkach wstrzymali pracę na różnych urządzeniach aż do czasu dostosowania ich do warunków bhp. Prócz tego wydali 201 orzeczeń o grzywnie. Stosunkowo najwięcej ingerencji było wobec zakładów małych — podległych spółdzielniom i przemysłowi terenowemu — ale i większe zakłady mają sporo bardziej i mniej zawnionych grzechów na sumieniu.

Kogo winić

Dzieje się tak m. in. dlatego, że przedsiębiorstwa na ogół nie odczuwa na własnej skórze finansowych skutków zaniedbywania bezpieczeństwa i higieny pracy, zwłaszcza kiedy jest ubezpieczone w PZU. Co prawda PZU ma wobec przedsiębiorstwa — jeżeli ono zawiniło — prawo domagania się zwrotu sumy odszkodowawczej. Ale jak tu dowiedzieć winy, jeżeli na ogół jako przyczynę wypadku wpisuje się do odpowiedniej rubryki sakramentalne: „wadliwe metody pracy” (oczywiście zatrudnionego).

Istnieje też tendencja — idąca od zakładu w górę często aż do kierownictwa resortu — niedocenia-

Dokończenie na str. 3

Feliks Fornalczyk

Tym razem Bergman

Teatr „5” Stanisława Hebanowskiego zdobył sobie pełne prawa obywatelskie w Poznaniu. Z premiery na premierę wzrasta liczba jego stałych sympatyków. Wska salka klubu „Od nowa” nie jest już w stanie pomieścić wszystkich amatorów obejrzenia nowego spektaklu. Na ostatniej premierze, tym razem etiudy scenicznego Ingmara Bergmana „Malowidło na drzewie”, parę setek widzów musiało pójść do domu, bo nie starczyło miejsc.

To niezwykle zainteresowanie publiczności godne jest zanotowania. Ostatnio niewiele znajdzie się w naszym mieście imprez artystycznych, które odczuwałyby kłopoty z powodu nadmiernej frekwencji. Czemu się tak dzieje? Sądzę, że Hebanowski utrafił swoim teatrem w tę część ludzkich marzeń i pragnień, których nie zaspokajają inne placówki artystyczne Poznania. Że spektakle Teatru „5” zaspoko-

Nasza nowa akcja

W poszukiwaniu straconego czasu

10 najciekawszych korespondencji na ten temat nagrodzimy bonami książkowymi wartości 200 złotych każdy.

Ile kosztuje godzina?

Zbigniew Mika

Interesant oczekujący godzinami w kolejce zle zorganizowanego urzędu, poczty czy przychodni marnuje czas. Na ogół mało to kogo obchodzi, jakby w myśl zasady, że to prywatna sprawa, a do tych wtrącać się raczej nie należy. Zresztą — kombinują sobie szafarze ludzkiego czasu — cóż tam znaczy kilka minut czy godzina lub dwie; życie jest długie.

Można i tak myśleć, ale podobna interpretacja to delikatnie mówiąc lekceważenie człowieka graniczące z kradzieżą. Czas posiada swoją choć nienotowaną na giełdach cenę, jak każdy przedmiot, który można kupić w sklepie. Jak każdy przedmiot ruchomy można go ukraść. Wartość tego czasu uwarunkowana jest oczywiście umiejętnością jego użytkowania. W niektórych rejonach międzywojennej Polski chłopci jeździli na jarmark wołami (20 km w 5 godzin), a w tym samym czasie w Wielkopolsce jechał koniemi wydawała się za ślamazarną.

Pewien fabrykant, a było to jeszcze przed wojną, znając wartość czasu wpadł na pomysł, którego przewrotności nikt początkowo nie dostrzegł. Otóż kazał uruchamiać syrenę fabryczną o 2 minuty wcześniej niżby należało. Po co to robił? Dokonał pewnego prostego rachunku: pomnożył 5.000 pracowników przez 2 minuty i otrzymał ponad 166 godzin. Każda godzina pracy robotnika przysparzała mu na czysto 3 dolarów. Ta droga uzyskiwał dodatkowy zysk w wysokości 37.350 dolarów miesięcznie.

W sposób jak najbardziej oczywisty okradł swoich robotników. U nas w wielu fabrykach można zobaczyć gesty ciche pracowników tłoczących się w bramie do wyjścia równiutko z gwizdem fabrycznej

syreny. Taka punktualność na pewno wymaga zatrzymania maszyn co najmniej 10 minut wcześniej.

Czyja tym razem narażono kiesę na szwank? Fabryki, czyli w ostatecznym rachunku naszą własną.

Przeglądając harmonogram prac związanych z budową i uruchomieniem Huty Aluminium w Koninie nietrudno dostrzec się lekceważenia czasu przez wykonawców dokumentacji technicznej i prawnej. Dzisiaj wiadomo już, że huta ruszy z rocznym opóźnieniem. Znaczna część tego opóźnienia powstała wskutek przewlekania terminów lokalizacji i prostych niekiedy formalności.

Oto jeden z przykładów. 8 grudnia 1960 r. Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów zatwierdził założenia projektowe budowy, ale dopiero 8 marca 1961 r. inwestor zwrócił się do naszego Frezjdium WRN z prośbą o lokalizację szwedzkiej obiektu. Lokalizacja była gotowa 14 kwietnia 1961 r. i można było przystąpić do wywłaszczenia gruntu. Uczy-niono to jednak po 37 dniach, gdy na polu żytko rosło. W rezultacie budowniczowie weszli na plac 1 sierpnia 1961 r.

Wolno nam ocenić, że w sumie niepotrzebnie zmarnowano około 150 dni. Każdy dzień produkcji nuty to szacunkowo i w przybliżeniu 100 ton aluminium. Przykład Konina nie należy do odosobnionych.

Rzecz jasna, że takie wylczenia choć zgodne z rachunkiem ekonomicznym nie zawsze trafiają do świadomości i przekonania w zestawieniu z naszym, prywatnym rachunkiem czasu. Strat tych nie odczuwamy bowiem bezpośrednio, w sposób widoczny, na codzień. Ale nonszalancki stosunek do biegu

„Nad czas stracony nie więcej nie boli” — powiedział już dość dawno jeden z mędrców. I nie bez racji, choć nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę. Tymczasem kwestia jest jasna: czas ucieka i nie da się go zatrzymać ani cofnąć. A cena jego jest wysoka: w ciągu jednej zmiany górnik wydobywa 2 tony węgla kamiennego albo 16 ton węgla brunatnego wględnie 800 kg rudy żelaza.

W przemyśle Wielkopolski i Poznania pracuje 200.000 ludzi. Nie wiemy dokładnie jaka jest wartość jednej godziny ich pracy, założmy, że 20 zł. Jeżeli tylko co drugi pracownik zmarnuje pół godziny dziennie, to straty sięgają miliona złotych. A przecież wiadomo, że często bywa znacznie gorzej.

Stare hasło: „czas to pieniądz” nie straciło swej aktualności, a nawet zyskało na znaczeniu. Dawniej bowiem służyło z korzyścią jednostkom, dziś społeczeństwu. Lekceważąc go tracimy miliony złotych. Ale nie tylko miliony, bo wiele jest dziedzin naszego życia, których w złotychkach nie wymierzysz. Tak więc urzędnik zmaszający obywateli do niepotrzebnego przesiadywania w poczekalniach, to także źródło marnotrawstwa. Dzięki niemu ludzie tracą zdrowie (nerwy), państwo ileś tam niewyprodukowanego dobra (maszyna stoi bo robotnik w urzędzie) a sama władza dobre imię czyli autorytet.

Zmarnowany czas własny czy społeczny to niemal jedno, bowiem zawsze w jakiś sposób te dwa pojęcia z sobą się zazębiają i zawsze godzą artykułów chcemy przeto zaprotestować przeciw dalszemu marnotrawstwu i przeciw bezkarności dla marnotrawców czasu. Chcemy pokazać źródła i przyczyny trwonienia cennych godzin.

Nie zdołamy odkryć wszystkich źródeł i przyczyn takiego stanu rzeczy i dlatego liczymy na pomoc Czytelników. Spodziewamy się licznych listów, w których podzielicie się swymi spostrzeżeniami, napiszecie o nowych przykładach nieliczenia się z ludzkim czasem.

nieubliżanych wskazówek zegara nieraz powoduje bardziej namacalne skutki. Spóźniona karetka pogotowia oznacza nieraz śmierć człowieka, ospały alarm pożarowy — spalony dom czy magazyn. Za późno uruchomiona pompa wodna może oznaczać zatopienie kopalni, której budowa kosztuje miliardy.

Ala na tym nie kończą się zgola poważne konsekwencje lekceważenia czasu. Urzędnik przetrzymujący w kolejce pod swym gabinetem szewca z punktu usługowego kinie nasze uspołecznione usługi, że za długo trwa reperacja butów; lekarz który siedział parę godzin na przewidzianej rozgadanej naradzie, nie może uporać się z „zaległymi” pacjentami, ci z kolei spowodowali — nie przyszli na czas do pracy — gorszą obsługę w sklepach, spóźnienie tramwaju, niepunktualne otwarcie stołówki, źle wypieczony chleb i wiele, wiele innych społecznych dolegliwości. Rzecz jasna nie chodzi tu akurat o lekarza lecz o zamykające się kółko wzajemnie wyrządzanych krzywd. Gdzie początek zankniętego korowodu trwonionych godzin? Niech każdy, sam sobie na to pytanie odpowie.

Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że nader często kradniemy sobie nawzajem czas zupełnie niepotrzebnie, dla niczyjej chwały ani korzyści, kradnąc wyrzucamy go od razu na śmietnik.

Ala to tylko jeden — oho ważny — aspekt problemu. Trzeba przecież spojrzeć nań od strony strat w kategoriach pozaekonomicznych. Mój znajomy np. przeliczył swoje dalsze życie na przeczytane książki. W ciągu 20 lat — tyle jego zdaniem pozostało mu do śmierci — pozna za ledwie około 240 tomów swojej bardzo ciekawej biblioteki tj. tylko ćwierć tego, co ma na półkach. Ten żalony jak na inteligenta (znajomy jest dyrektorem poważnego przedsiębiorstwa) rachunek wynika stąd, że czyta średnio jedną książkę miesięcznie. Na więcej nie ma czasu. Zresztą wylcienie to ocenia jako bardzo optymistyczne.

W ten sposób można by przeliczyć każdy rok. Każdy miesiąc i dzień w dowolnych kryteriach porównawczych: jedni na turystykę, kino czy teatr, inni na ukończenie lata studiów, kursów, języków obcych czy nawet robry rozegrane go brydza. I wtedy dopiero okaże się ile jest warta każda chwila, jak wielkie pretensje trzeba mieć do jej marnotrawców.

Przytaczając ten i ów przykład trwonienia czasu nie szukamy czarownicy, którą chcemy zaprowadzić na stos. Tych czarownic byłoby za dużo. Przyczyny tkwią w nas samych, w całym społeczeństwie, z niewielkim może wyjątkiem. Ta rozbieżność pomiędzy XX-wiecznym rytmem życia a anachroniczną organizacją pracy jest zaprzeczeniem nowoczesności i postępu. Chcemy być nowoczesni, nie marnujemy czasu swego i bliźnich, nie zgadzamy się z marnowaniem czasu przez innych.

Dokończenie na str. 4

Wacław Rogalewski

Kłopoty mistrzów bez dyplomów

Czas płynie niespostrzeżenie. Warte tryb życia lat wojennych skrócił jakby dni, miesiące, lata. Ani się człowiek obejrzał jak mu stuknęła „czterdziestka”. Zawód, często przypadkowo wybrany, stał się z biegiem czasu specjalnością, życiowym awansem, legitymacją społeczną. Tytuł służbowy przysnął do nazwiska i stał się wykładnią wiedzy i stanowiska.

Tylko w ankiecie personalnej, w rubryce notującej posiadane wykształcenie — brakło adnotacji. To puste miejsce jest zmartwieniem niejednego starego pracownika. No bo jakże to być mistrzem bez dyplomu, majstrem bez świadectwa stwierdzającego prawo do tego tytułu, kwalifikowanym niby robotnikiem bez papierów? Do tej starej gwardii dołączają co roku młodsze roczniki.

W samą więc porę ukazała się uchwała Rady Ministrów z sierpnia 1959 r., powołująca państwowe komisje egzaminacyjne przy kuratoriach okręgów szkolnych, z uprawnieniami do nadawania tytułów robotnika wykwalifikowanego, czy mistrza zawodu.

W Wielkopolsce pierwsze skorzystały z tej okazji, o dziwo, kobiety i to ze Spółdzielni „Gostynianka” w Gostyniu. Po krótkim kursie przygotowawczym stanęły do egzaminu i zdały go na celujący, uzyskując tytuły wykwalifikowanych robotnic i mistrzyń. Ich śladem poszło dalszych 950 pracowników spółdzielczości, ubiegających się o tytuł robotnika kwalifikowanego i około 1.500 pragnących uzyskać tytuły mistrzowskie.

W PFMŻ już dwukrotnie odbyły się egzaminy państwowe, dzięki którym ponad 160 pracowników tej i okolicznych fabryk (Alco, Emaliernia i inne) otrzymało odpowiednie dyplomy. Warto przy tym dodać, że przeciętny wiek kandydatów wynosił 45 lat.

W sumie 17 Państwowych Komisji Egzaminacyjnych przyznało do tej pory 922 tytuły robotnika kwalifikowanego i 518 tytułów mistrza w 55 zawodach. Z przeprowadzonych dotychczas egzaminów kwalifikacyjnych wynika, że stopień opanowania wiadomości teoretycznych przez robotników jest zadowalający. Odsiew nie przekracza 8 proc., główne z braku pełnego wykształcenia w zakresie szkoły podstawowej.

Jest jednak, niestety, i „druga strona medalu” tej jakże pozytywnej akcji.

Choć liczba przyznanych do tej pory tytułów wynosi 1440 — stanowi ona zaledwie niewiele ponad 10 procent ogółu pracowników, którzy winni się poddać egzaminowi. Jest ona ponadto niepełna i dotyczy niewiele ponad 100 zakładów. Sporo przedsiębiorstw w ogóle do tej pory nie zgłosiło kandydatów i nie ubiega się o komisje egzaminacyjne. W tej chwili Kuratorium posiada w rejestrze 40 komisji egzaminacyjnych, przy czym zaledwie 17 jest czynnych.

Stając do egzaminu, pracownik musi z konieczności ugruntować i poszerzyć swój zasób wiedzy, co niewątpliwie odbije się dodatnio na jego pracy zawodowej. Dla zakładów jest to czysty zysk, jako że znacząco one sobie przy tej okazji swój średni poziom techniczny, podnoszą poziom technologii, poszerzają bazę szkoleniową, mają do dyspozycji w pełni kwalifikowanych własnych mistrzów.

A jednak, mimo tych niezaprzeczalnych korzyści są jeszcze liczne zakłady, a nawet resorty, które sierpniowej uchwały albo nie dostrzegają, albo interpretują ją według własnego uznania, wprowadzając do egzaminów kwalifikacyjnych sporo zamieszania.

Na przykład Min. Przem. Ciężkiego daje możliwość uzyskania tytułu robotnika kwalifikowanego kandydatom powyżej 35 lat, bez ukończenia 7 klas szkoły podstawowej. Min. Budownictwa nie zezwala na egzaminowanie kandydata, jeśli nie posiada on pełnego podstawowego wykształcenia. Prawdziwą jednak łamigłówkę muszą rozwiązywać egzaminatorzy, gdy w jednym zakładzie, podległym MPC staną do egzaminu równocześnie kandydaci

ubiegający się o tytuł w zawodzie ślusarza maszynowego, którzy nie potrzebują się legitymować ukończeniem 7 klas (Zarz. MPC nr 202 z dnia 28. XII. 1960 r.) i dajmy na to — pragnący uzyskać kwalifikacje elektromontera przemysłowego lub montera instalacji centralnego ogrzewania, których wymóg ten obowiązuje.

Ponad 200 kandydatów z placówek spółdzielczych ubiega się od 3 miesięcy o dopuszczenie do egzaminu mistrzowskiego w zawodzie fryzjera. I zanosi się na to, że zmuszeni będą wycofać swe wnioski, gdyż w nomenklaturze mistrzowskiej Komitetu Drobnej Wytworczości ta specjalność egzaminom nie podlega. Nawiasem mówiąc Kuratorium nie posiada nawet pełnej listy zawodów w tym resorcie, w którym można przyznawać tytuły szczególnie mistrzów.

Sporo zamieszania wywołuje również swego rodzaju uprzywilejowanie pracowników PKP. Chodzi mianowicie o maszynistów parowozów i spalinowych pojazdów, którzy mogą uzyskać tytuł mistrza bez składania egzaminu przed Komisją Państwową, o ile tylko, zgodnie z Zarz. Min. Oświaty z dnia 22. I. 1961 r., ukończyli zakładowe kursy fachowe i wykazali się na końcowym kolokwium wystarczającymi wiadomościami przed swymi wykładowcami. Również tytuł robotnika kwalifikowanego można na PKP uzyskać stając do egzaminu przed komisją zakładową o ile tylko kandydat dopełnił warunki Zarz. Przewodniczącego Komitetu Pracy i Płac z dnia 24. II. 1961 r. — to znaczy uczęszczał na kursy i opanował program.

I znów Kuratorium, a także WKZZ muszą wysłuchiwać uwag o uprzywilejowaniu jednych — wiadomo przed „swoimi” łatwiej i śmielej się zdaje egzaminy — i o utrudnieniu życia innym.

Jak na dwa i pół roku obowiązywania uchwały, sporo nabierało się uwag, kłopotów i życzeń przyszłych dyplomantów. Uczyć się i użerać z przepisami, to już jest ponad siły nawet dla czterdziestoletnich kandydatów. Przyszli mistrzowie i kwalifikowani robotnicy czekają więc z niecierpliwością na ujednolicenie przepisów. Wówczas pogoń za dyplomami stanie się na pewno bardziej masowa. A o to chyba chodzi.

P. S. A może by tak tytuł robotnika kwalifikowanego zmienić np. na kwalifikowany ślusarz, monter itp.? Zapewniam, że na taką zmianę w tekście uchwały, wyrażiliby aprobatę wszyscy zainteresowani. Dlaczego? — po prostu tytuł zawodowy mówiłby również o fachowej specjalności. Proste — prawda? (r)

Dr Jerzy Koller, wybitny poznański znawca teatru, długoletni kierownik literacki Teatru Polskiego, w długim cyklu gawęd radiowych opowiadał o swoich spotkaniach z teatrem, o ludziach teatru, anegdotach teatralnych. Gawędy te opracowała i przygotowała do druku Elżbieta Elbanowska. Wkrótce ukaza się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego. Drukujemy dziś z niewielkimi skrótami rozdział z pracy dr. Kollera zatytułowany „Anegdota teatralna”.

Nie ma chyba sfery i atmosfery, która by stanowiła tak podane i płodne podglebie dla anegdoty, jak właśnie — teatr. Dlaczego tak się dzieje? Powodów jest kilka. Najważniejszym jest ten, że autor w swojej, nieraz bardzo ciężkiej i trudnej pracy, ma duże przerwy, całe sceny, czy nawet akty, w których nie gra. W garderobie, podczas charakterystacji, oczekiwanie na swoje wyjście, bywają luki, które czymś trzeba wypełnić. Najczęściej wypełnia się je plotką i anegdotą. Tematy są najrozmaitsze.

Jednym z najczęstszych jest stosunek do dyrektora, tego najwładzniejszego celu anegdot i kawałów teatralnych. Koło Pawlikowskiego, Osterwy, czy innych dyrektorów, powstała cała masa anegdot. Np. Pawlikowski był na ogół spokojny i opanowany, ale nieraz miał bardzo ostry dowcip. Pewna młoda aktorka przyszła do niego z zapytaniem, — „Czy to prawda, że pan dyrektor ma zamiar wystawić „Króla Lira”? Pawlikowski odpowiedział:

— To jeszcze nie jest zdecydowane, w każdym razie myślę o tym. Wtenczas aktorka prosiła:

— Panie dyrektorze, ja błagam o rolę Kordelii. Ja już ją grałam, i grałam z dużym powodzeniem.

— A gdzie ją pani grała?

— W Częstochowie.

— Ach! W Częstochowie, — tam się dzieją cuda.

Jako młody student Uniwersytetu Łwowskiego przyjaźniłem się z synami bardzo kulturalnego, o wszechstronnych zainteresowaniach naukowych, prof. Jana Gwałberta Pawlikowskiego — autora wielkiej

Nie co studenckie nie jest nam obce — tak mogą powiedzieć chyba tylko studenci. Oni przecież najlepiej znają problemy swojego środowiska. Dlatego też dziennikarz przygotowując na ten temat publikację uciekł się do pomocy „konsultantów”. Zostali nimi: p. Mirosława C. i p. Andrzej K. — studenci UAM oraz p. Jan B. studiujący na WSE. Między nimi a niżej podpisanym wywiązała się taka rozmowa:

Dziennikarz: Pewna część społeczeństwa ustosunkowana powściągliwie do akademików wygłasza na ich temat niepoehlebne opinie. Właśnie od tych poglądów chciałbym rozpocząć naszą rozmowę.

„Głos” pisał niedawno o kwaterach dla studentów. W związku z tym artykułem otrzymaliśmy kilka listów. Jeden z korespondentów, żaląc się na chuligańskie zachowanie się studentów, którym wynajął lokum stwierdził (cytuje i przepiszam za drastyczne określenie): „lepiej króliki mieć w pokoju aniżeli studenta”...

Mirosława C.: Radziłabym temu panu przerzucić się na hodowlę królików. Oczywiście we własnym mieszkaniu... Jako studentka czuję się głęboko urażona takim określeniem. Prawda, że są akademicy, którzy chuligania, ale z tego nie wolno wyciągać wniosku, że cała młodzież studencka jest nie warta. Nie rozumiem jak można wady jednostek przypisywać środowisku, z którego te jednostki się wywodzą. Gdybyśmy chcieli tak pochopnie uogólniać szybko doszlibyśmy do wniosku, że nasze społeczeństwo niewiele jest warte. Mówmy więc student X to chuligan, lekarz Y jest nieuczciwy, adwokat Z mataczy.

Dziennikarz: Zgadza się z tym całkowicie. Środowisko akademickie jest zróżnicowane i tak uogólniać — jak nasz korespondent — nie wolno. Warto się jednak zastanowić jakie są źródła powstawania niepoehlebnych opinii. Np. takiej, że akademików z prawdziwego zdarzenia jest tylko 33 proc., pozostali zaś studiują tylko dlatego, by zadość uczynić ambicjom rodziców lub urzędniczym planom matrymonialnym.

Jan B.: Najpierw kilka słów na temat tej opinii. Studia nie są rzeczą łatwą. Trudno więc zakładać, że dziewczyna, której w głowie tylko zamajękuje, będzie się pchać na wyższą uczelnię. Łatwiej chyba znaleźć posrednika w inny sposób. Choćby za pośrednictwem biura matrymonialnego.

Wydaje mi się, że przy wyborze kierunku studiów, decydującą rolę grają zainteresowania, perspektywy zatrudnienia w danej specjalności i nie niestety „owczy ped” (stad zadziwiająca nieraz popularność niektórych kierunków).

Dlaczego krąży o nas niepoehlebne opinie? Młodzież studencka jest nieco krzykliwa, zadziorna, buńczuczna (to przywileje młodości) może nieraz bezkompromisowa, a czasem nierozważna. Starszych lu-

dzi to często drażni. Tak samo wprowadza ich z równowagi np. studencka moda czy dość swobodny styl bycia.

Dziennikarz: Właściwie doszliśmy już do odwiecznego konfliktu między starszym a młodym pokoleniem. Nie można jednak zapominać, że środowisko studenckie — w przeciwieństwie do innych grup młodzieży — jest środowiskiem w dużym stopniu odizolowanym od reszty społeczeństwa. Zapewne i w tym tkwi źródło powstawania rozmaitych mitów...

Andrzej K.: Tak. Są np. ludzie, którzy sobie wyobrażają, że część

Studenckie grzechy i mity

studentów całymi dniami okupuje stoliki w „Słowiańskiej”. Mało kto, w pełni zdaje sobie sprawę z tego, jak trudne jest życie przejawające się większości młodzieży akademickiej. To kłopotliwe wiązanie końca z końcem, owe uganianie się z wykładu na ćwiczenia i z ćwiczeń na wykłady; trudności z podręcznikami, batalia w stołówkach o cienką zupkę — oto niektóre spośród studenckich „przyjemności”.

Dziennikarz: Myślę, że Zrzeszenie Studentów Polskich jak i inne organizacje młodzieżowe powinny śmiało dążyć do zlikwidowania studenckiej izolacji. To, co się w tym zakresie robi, jest niewystarczające.

Mirosława C.: Można by pomyśleć np. o tygodniu czy miesiącu otwartych sal wykładowych. Otwartych dla każdego chętnego. To oczywiście wiązałoby się z odpowiednim propagowaniem tematów wykładów zrozumiałych i interesujących ogół obywateli. Można by także bardziej zacieśnić współpracę kół organizacji młodzieżowych — tych z uczelni i tych z zakładów produkcyjnych.

Dziennikarz: Wróćmy jednak do sedna. Wymieniliśmy już szereg przyczyn powstawania niepoehlebnych opinii o studentach. Nasuwa się zasadnicze pytanie: w jakim stopniu te opinie wynikają z niewłaściwej postawy studiujących? Odpowiadając na to musimy przyjąć, że kryteria oceny — przyszłych lekarzy, inżynierów, prawników — nie mogą być ulgowe.

Mirosława C.: Na pewno najwięcej można zarzucać studentom pierwszych lat. Sporo jest takich, którzy nie wiedzą co to „savoir vivre”. Kompromitując niski jest także poziom higieny osobistej. Sięszam, że opiekun i roku na pewnym wydziale UAM zagroził nawet prze prowadzeniem kontroli w celu ujawnienia brudasów. Zbyt dużo jest także „wody sodowej” i ona właśnie często zraża ludzi do studentów.

Alkoholizm. I na ten temat krąży mity. M. in. taki, że 10 procent studentów przepija stypendia. Tego rodzaju samobójców finansowych można naprawdę policzyć na palcach. Inna rzecz, że widok pijanego studenta barziej razi niż np. pijanego „cywila”.

Wiele można by natomiast mówić na temat intelektualnego ubóstwa. Brak wszechstronnych, szerszych zainteresowań u studentów i mała jest ich samodzielność myślenia. Większość ogranicza się do tego, co wykładowca „do wierzenia podaje”. Mało kto sięga do źródeł uzupełniających, do dodatkowej lektury.

Andrzej K.: Nieliczni odważą się też formułować własne sądy i polemizować z autorytetami. Większość studentów posługuje się właściwie metodami „naukowymi” wyniesionymi ze szkoły średniej.

Zaryzykuje taką hipotezę: na pierwszych latach około 20 procent studentów nie nadaje się na studentów. Właśnie ze względu na ubóstwo intelektualne.

Dziennikarz: Bardzo ryzykowne jest tutaj operowanie liczbami. Jednakże pewien brak predyspozycji do studiowania to rzecz dość łatwo dostrzegalna. Winę ponosi chyba i szkolnictwo średnie, i wyższe.

Jan B.: Mam poważne zastrzeżenia co do metody przeprowadzania egzaminów. Muszą one być bardzo gestym sitem eliminacyjnym. Egzaminator powinien przede wszystkim premiować samodzielność myślenia nawet kosztem pamięciowego opanowania materiału.

Dziennikarz: Mnie się wydaje, że szczególnie dokładnie trzeba by „przesiewać” takich studentów, którzy np. po roku farmacji przerzucają się na polonistykę, stamtąd na chemię, a ostatecznie niczego nie kończą. Ta „wszechstronność” zainteresowań i słomiany ogień drogi nas kosztują. Koniecznością wydaje się więc wprowadzenie obowiązkowego badania — kandydatów na studia w psychologicznej poradni zawodowej. Krótko mówiąc lepsza praca szkół średnich i staranniejszy dobór kandydatów mogą sprawić, że mniej będzie „ubogich intelektualnie” studentów. A inne problemy studenckie? Są one niemiernie złożone. I dlatego nie chcemy stawiać kropek nad „i”.

Może nasi Czytelnicy, szczególnie studenci, napiszą nam co myślą o poruszanych w niniejszej publikacji zagadnieniach.

Rozmawiał:

Michał Luczak

Jerzy Koller

anegdota

monografii: „Mistyka Słowackiego” i pomnikowego wydania: „Króla Ducha”. Prof. Jan Gwałbert Pawlikowski był rodzonym bratem dyr. Tadeusza Pawlikowskiego. Dzięki tym koligacjom i przyjaźni z Michałem i Janem Pawlikowskimi, kręciłem się dużo po teatrze, na co dyr. Pawlikowski patrzył z pobłażliwą wyrozumiałością, a nawet zaszczepiał mnie nieraz rozmową, oczywiście na tematy teatralne. Pewnego razu siedziałem podczas próby obok dyrektora.

Na scenie odtworzał jakąś rolę, pisaną wierszem, artysta teatru lwowskiego, a później warszawskiego, Józef Chmieliński, którego Henryk Cuadnowski w swoim pamiętniku — nazywa „znakomitą przedstawicielem roli Cyrana” w sztuce E. Rostanda i poświęca mu sporo entuzjastycznych wyrazów uznania. Dyrektor Pawlikowski miał jednak swój ustalony i przemysłany pogląd na teatr i aktorów, z czym musiał się łączyć pewne sympatie i antypatie, nawet w stosunku do bardzo zasłużonych współpracowników. Chmieliński nie cieszył się specjalnymi względami dyrektora. Jego sposób gry, nieco starszej już daty, nie pokrywał się bez reszty z wymaganiami Pawlikowskiego, wyniesionymi z nowych teatrów paryskich.

Kiedy w pewnej chwili, zachwycony głosem i deklamacją Chmielińskiego, odezwałem się do dyrektora:

— Panie dyrektorze, w jego ustach te wiersze są prawdziwe perły.

Pawlikowski spojrzał na mnie trochę ironicznie, po czym powiedział:

— Ma pan rację, to są perły, ale nieprawdziwe, tylko takie sztuczne, wewnątrz puste...

Tak samo opowiadano niejedną anegdotę o dyr. Lorentowicz. — Lorentowicz, jako dyrektor teatru,

dostał polecenie poważnego obniżenia gaź wszystkim artystom. Na pierwszy ogień poszła wielka artystka, Mieczysława Cwiklińska. Lorentowicz, chcąc w jakiś „najdelikatniejszy” sposób zapowiedzieć jej tę smutną wiadomość, zaczął nienajbardziej od tego —

„Starzejemy się pani Mieczysławo, starzejemy się...”

„Ale taktu i rozumu nie nabieramy” — odpowiedziała Cwiklińska.

Drugim bardzo wdzięcznym źródłem anegdoty, jest bufonada i blaga, z którą aktorzy i aktorki opowiadają o swych olbrzymich sukcesach. Np. zasłużony i dobry aktor, Edmund Gasiński, lubił opowiadać swoich kolegów opowiadaniach: „Powiadam wam, tak wczoraj grałem, że wszyscy gęby pootwierali”. — a na to którzy z przyjaźni — „Bój się Boga, tak ziewali?”

Osobny rozdział anegdot to historie z wieńcami i kwiatami. Niektóre dyrekcje teatrów, chcąc położyć kres aktorskim pomysłom nie pozwalały (np. Osterwa), na wnoszenie kwiatów na scenę. Kwiaty oddawano w garderobie. W naszym poznańskim teatrze wydarzył się taki wypadek. Wśród całej masy bukiecików, zostawionych w sekretariacie, znajdował się wspaniały kosz kwiatów. Sekretarka była w kłopotcie, bo pozostał wprawdzie adres, ale zginął bilet. Nie chcąc tu zdradzać nazwiska, do kogo był adresowany. Znajdujący się razem ze mną w sekretariacie jeden z aktorów powiedział: „Ale niechże się pani nie denerwuje, on i tak będzie doskonale wiedział od kogo, bo sam go sobie posłał”.

Szczególnie aktorki, zwłaszcza w „pewnym wieku”, mają pasję opowiadania o swoich niezwykłych sukcesach. Dowiadujemy się z tych wynurzeń o za-

W n-rze 5 dwutygodnika „Współczesność” ukazał się zbiór wywiadów opatrzonego wspólnym tytułem „Jaki właściwie jest Poznań?” Rzecz została następnie — w godnej pochwały trosce o wszechstronne poinformowanie społeczeństwa poznańskiego — niemal w całości przedrukowana w nr. 7 „Głosu Tygodnia”. Nie wiem, z jakimi uczuciami przyjęli czytelnicy tę ze względu na brzmienie tytułu wiele obiecującą kompilację. We mnie, po przeczytaniu wypowiedzi opatrzonej moim nazwiskiem, wzbudziła ona uczucie zgrozy. Nie dlatego, aby mi się „moja” wypowiedź nie podobała. Wręcz przeciwnie, w zasadzie solidaryzuję się z zawartymi w niej radami, mimo, że stanowią one zlepek zdań wyrwanych z kontekstu, w jakim były pierwotnie „mieszane”. Przerażeniłem się dlatego, że jako żywo nigdy nie przypuszczałem, że można stać się plagiatorem wbrew własnej woli. A ja nim zostałem.

W jaki sposób do tego doszło? Otóż redaktor Jerzy Mikke z Polskiego Radia w Warszawie, w czasie swego pobytu w Poznaniu odwiedził także Uniwersytet i nagrał na taśmie wywiad zbiorowy, w którym uczestniczyli: rektor prof. dr A. Klafkowski, doc. dr J. Zieliński oraz kilku podopiecznych. Po przejrzeniu redaktora Mikke do Warszawy ślad powtórzył się cud z wieżą Babel, tyle że tym razem zamiast pomieszania języków nastąpiło pomieszanie głosów. Red. Mikke, człowiek widać nie pozbawiony bystrości, lepiej wybrnął z nader trudnej sytuacji niż nasi biblijni przodkowie, bo osobliwy cocktail głosów sprowadził do wspólnego mianownika: to, co powiedzieli trzej dyskutanci — przypisał jednemu z nich. Sprawa ma, delikatnie określając, przykry posmak, nie warto więc dłużej rozwodzić się nad nią. Zanim jednak przejdę do spraw merytorycznych chciałbym zacytować red. Mikke słowa często powtarzane przez Tuwima: „Sprawdzać, panowie żurnaliści, sprawdzaj!”.

Kto krytykuje?

Nauczony własnym doświadczeniem nie mogę przesądzać, czy uczestnicy dyskusji na temat społecznego oblicza współczesnego Poznania byłiby skłonni autoryzować swoje wypowiedzi. Toteż uwag, jakie nasunęły mi się w związku z wywiadami opublikowanymi na łamach „Współczesności” i „Głosu Tygodnia” nie adresuję do żadnej konkretnej osoby.

Stara to prawda, że słowem należy szafować równie ostrożnie, jak śmiercionośną bronią. Już starożytni byli tego świadomi i im też ludzkość zawdzięcza opracowanie pierwszych zasad logiki, tj. nauki pouczającej m. in. o tym, jak porządnie myśleć człowiek powinien posługując się słowami. Szczególnie natarczywie ostrzeżenie logika przed niefrasobliwym posługiwaniem się terminami wieloznacznymi. Często bowiem zdarza się, że ludzie nieprzeznorni, operując określeniami wie-

Władysław Markiewicz

„Straszny drobnomieszczanin“?

lozacyjnymi, opatrują tym samym pojęciem różne zjawiska; innym razem na odwrót, to samo zjawisko różnie nazywają i nawet nie zdając sobie z tego sprawy nasładowują w dyskusji znany dialog między diadem i obrazem. W ocenach, jakie na temat cech czy właściwości psychicznych mieszkańców Poznania można przy różnych okazjach słyszeć lub przeczytać jedna szczególnie niepokoi: nikt z autorów na ogół nie próbuje zdać sobie sprawy z tego, jaka właściwie treść wkłada w termin tak trudny do zdefiniowania jak „drobnomieszczanin” (patrz: M. Ossowska, *Moralność mieszczańska*, rozdz. pt. „Pojęcie mieszczaństwa i drobnomieszczanstwa”).

Z jednej strony przypisuje się poznaniakom takie pozytywne wartościowane przymioty jak: solidność, gospodarność, poczucie dyscypliny, rzeczowość, zmysł organizacyjny, w ogóle pewną stabilność postaw; z drugiej zaś strony określa się ich jako szczególnie upartych nosicieli przywar drobnomieszczańskich, przy czym niektórzy doszukują się źródeł cech pejoratywnych poznaniaków w tym, co wcześniej poczytano im jako zalety. I tak na przykład poznaniacy są z tytułu tradycyjnego zamiłowania do ładu i porządku na przemian wychwalani i krytykowani. Krytykowani są przez tych obserwatorów, którzy dewizę „porządek musi być” kojarzą z przywiązaniem do golonki i operetki.

Cnoty i pretensje

Pomiędzy w tej chwili to, czy ktośkolwiek z naigrawających się zadał sobie trud sprawdzenia, azaż owa rzekoma symbolizująca nienowoczesny styl bycia poznaniaków predylekcja do „eisbeinu” i podkaszanej muzy występuje u nich z większym nasileniem niż u mieszkańców innych miast i dzielnic kraju. Chodzi o rzecz znacznie istotniejszą, mianowicie o rozstrzygnięcie, w czym koniec końców przejawia się przypisywana poznaniakom drobnomieszczańskość: czy w wyliczonych powyżej cechach pozytywnych, czy też negatywnych? Otóż — choć zabrzmi to jak paradoks, zwłaszcza w uszach tych, którzy przywykli, w gruncie rzeczy bezzasadnie, posługiwać się terminem „drobnomieszczanin” tylko w pejoratywnym sensie — na przekór temu, co się powszechnie o poznaniakach sądzi, są oni drobnomieszczańscy w jednakowym stopniu w tym, co jest ich niewątpliwą cnotą, jak i w tym, o co się żywi do nich mniej lub bardziej uzasadnione pretensje.

„Drobnomieszczańskość” poznaniaków doprowadza do rozpaczki z reguły tych, którzy zapominają, że drobnomieszczaństwo jest kategorią historyczną, że przeto wszę-

dzie tam gdzie ono występuje jako — używając określenia Engelsa — „normalna historyczna faza” odznacza się pewnymi osobliwymi cechami, które w określonych warunkach i w zależności od okoliczności mogą odgrywać bądź to społecznie konstruktywną rolę, bądź też mogą stanowić hamulec rozwoju. W liście do Paula Ernsta porównuje Engels drobnomieszczaństwo niemieckie, którego cechami historycznie nabytymi są — jego zdaniem — tchórzostwo, ograniczoność, bezradność i brak wszelkiej inicjatywy, z drobnym mieszczaństwem norweskim, które w przeciwieństwie do zdegenerowanego niemieckiego mieszczaństwa reprezentuje „męski” typ i stanowi — jak mówi Engels — „świat zupełnie odmienny od niemieckiego, świat, w którym ludzie mają jeszcze charakter, inicjatywę i działają samodzielnie, jakkolwiek, według pojęć obcych dość dziwnie postępują”.

Socjalizm dziedziczy po kapitalizmie nie tylko przygotowaną przez niego bazę ekonomiczno-techniczną, ale także ludzi, których psychika została urobiona na określonej modłę. Otóż wiele cech drobnomieszczańskich, mimo że są one produktem rozwoju kapitalizmu, daje się doskonale zaadaptować do warunków socjalizmu. Gdyby było inaczej, trudno byłoby zrozumieć, dlaczego — jak twierdził klasyk marksizmu — warstwa ta jest nieodzownym sojusznikiem proletariatu w rewolucji społecznej, a następnie w budownictwie socjalistycznym. Oczywiście, drobnomieszczaństwo nawet wówczas, kiedy na skutek okoliczności historycznych zdołało wypielegnować w sobie szczególnie wiele cech przydatnych w warunkach socjalizmu (a w Poznaniu tak właśnie rzecz się miała), dźwiga jednak na sobie pokąźny balast właściwości psychicznych, wzorów postępowania, konwenansów itd. niepożądanych.

Żywa sprzeczność

W miarę krystalizowania się nowej socjalistycznej obyczajowości i moralności niektóre rekwizyty drobnomieszczańskie stają się coraz bardziej anachroniczne i szkodliwe. Toteż należy je konsekwentnie zwać. Wszelako jeśli walka ta ma przynieść oczekiwane pożądane efekty, musi być prowadzona rozumnie, z dużym taktem i poczuciem odpowiedzialności. Bojownicy składają jak najbardziej słuszną sprawę uwspółcześnienia czy unowocześnienia życia kulturalnego Poznania, których rażą i drażnią na wzór drobnomieszczański ukształtowane panujące tu formy współżycia, gusta i upodobania powinni liczyć się z tym, że drobnomieszczanin, jak mówi Marks, składa się (...) „z jed-

nej strony” i „z drugiej strony”. Taki jest w swoich interesach ekonomicznych, a więc i w swojej polityce, w swych poglądach religijnych, naukowych i artystycznych. Taki jest w swojej moralności, taki jest we wszystkim. Jest żywą sprzecznością”.

Proces wychowawczy, którego celem jest przekształcenie człowieka myślącego i czującego kategoriami drobnego mieszczaństwa w świadomego wyznawcę ideałów socjalistycznych — bo na tym chyba, mówiąc po prostu, polega koniec końców zamiar uczynienia z niego człowieka nowoczesnego — musi liczyć się z owym specyficznym „rozdwojeniem jaźni”. Trzeba „wygrywać” dobre cechy drobnomieszczańskie przeciwko złym, nie zapominając ani przez moment o tym, że w świadomości osobnika zlewają się one w pewną całość. Ze wobec tego gwałt zadany nawet w najłepszych intencjach jego „złej stronie” jest przez niego odczuwany jako zamach na wszystkie pielęgnowane w duszy wartości. Trudno wróżyć powodzenie akcji reedukacji polegającej na tym, że się edukowanego drażni, prowokuje, że mu się obcesowo komunikuje — i to w kółko, przy każdej okazji, wbrew ostrzeżeniu za-

wartemu w mądrym przysłowiu, które zakazuje mówić o stryczku w domu wisielca — że jest „straszny drobnomieszczańskim”. W ten sposób można doprowadzić tylko do tego, że albo człowiek zamknie się w sobie i stanie się nieczuły na wszelkie uzasadnione przytyki i łajanie, albo też przekształci się, dla świętego spokoju, w snoba, który za cenę pozowania na nowoczesność wybrednie się swoich pozytywnych cech, pozostając nadal w głąbi duszy drobnomieszczańskim filistrem, tyle że trudniejszym do zidentyfikowania.

*

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Ludziom pióra — obojętnie czy to będą naukowcy, publicyści czy dziennikarze — jak również wszystkim tym, którzy z racji zawodu lub wykonywanej funkcji społecznej powołani są do oceniania cudzych postaw i motywów postępowania, grozi niebezpieczna choroba zwana próżnością. Jest to notabene jedna z tych charakterystycznych cech drobnomieszczańskich, w których odzwierciedla się sprzeczność między wewnętrzną odczuwaną skłonnością do podjęcia zadań co najmniej na miarę epoki, a możliwościami ich urzeczywistnienia przez danego osobnika z uwagi na jego ograniczone moralne i intelektualne kwalifikacje. Inaczej mówiąc, powinniśmy wystrzegać się tego, by własną nieudolność lub niemożność nawiązania kontaktu ze społeczeństwem ze względu na niekomunikowalność tego co pod jego adresem postulujemy, kłaść każdorazowo na karb jego zacofania.

Życie i zdrowie dobro najwyższe

Dokończenie ze str. 1

nie ważności zagadnień bhp, jako nie przynoszących bezpośrednich korzyści produkcyjnych. Znajomość przepisów bhp i ich przestrzeganie też pozostawiają dużo do życzenia. Kogo winić w razie wypadku, nawet jeżeli jego przyczyną są „wadiwe metody pracy”, a kierownictwo nie pouczyło pracownika o metodach? Pracownika? Chyba nie.

Przepisy i rzeczywistość

Sytuacja w dziedzinie bhp ulega stałej poprawie. Jest daleko lepsza niż przed kilkoma laty, a o niebo lepsza niż przed wojną, kiedy to rozporządzenie Prezydenta RP z 16 marca 1928 roku o bezpieczeństwie i higienie pracy było tylko czczą formalnością. W Wielkopolsce liczba wypadków na tysiąc zatrudnionych jest także o wiele niższa, niż obecna przeciętna krajowa, co wcale nie świadczy o tym, że nie można jej zmniejszyć.

Jest jeszcze sporo do zrobienia, o czym świadczy cytowany fragment listu lub uchwały egzekutywy KW PZPR w Poznaniu sprzed kilku miesięcy, kładąca nacisk na podniesienie warunków bhp i zobowiązująca WKZZ oraz zarządy okręgowe ZZ do stosowania przez technicznych inspektorów pracy ostrzych sankcji wobec zakładów nie wyłączając zamykania poszczególnych stanowisk, a nawet całych wydziałów.

Normy prawa pracy obowiązujące w naszym kraju uznają życie i zdrowie pracownika za najwyższe dobro społeczne niezależnie od tego, jakie miejsce w procesie produkcji ten pracownik zajmuje. Nasi teoretycy i praktycy walczą z fatalistyczną tezą uczonych burżuazyjnych, iż rozwój techniki musi prowadzić do wzrostu wypadków. Temu oczywiście nonsensowi, służącemu aż nadto wyraźnie interesom kapitału, przeciwstawiamy pogląd o możliwości zupełnego wyeliminowania wypadków.

Urzeczywistnienie tego poglądu wymaga jednak zwiększenia nakładów na bhp, zwyższenia dotychczas zainteresowania się tymi sprawami przez zakłady pracy i ich władze zwierzchnie oraz dobrej znajomości przepisów i ich przestrzegania przez samych zatrudnionych. Ale to nie wszystko. W dziedzinie prawnej również istnieją luki. Jest na przykład ustawa z 18 lipca 1950 roku, nakładająca już na konstruktorów i producentów maszyn obowiązek dostosowania tych urządzeń do wymogów bhp, nie ma jeszcze niestety przepisów wykonawczych, co utrudnia ogromnie stosowanie sankcji wobec nieprzestrzegających tych norm. Cóż pozostaje zakładowi eksploatującemu maszynę, która — acz świetna — pod względem bhp potraktowana została przez swych twórców ze zmuszeniem oka? Użytkownik albo nie przejmuje się ewentualnymi niedopatrznościami producenta, albo usuwa je prowizorkowo. Czy taki stan sprzyja wzrostowi bhp i rozwojowi ogólnej kultury pracy? Na pewno nie. Ale też na pewno trzeba go jak najszybciej naprawić. Wymaga tego dobro najwyższe — życie i zdrowie człowieka.

MARIAN FLEJSIEROWICZ

teatralna

chwyłach, zarówno dyrektorów, jak kolegów, a nawet krytyków. Słyszymy o olbrzymich bukietach i koszach kwiatów, o dedykacjach na fotografiach, prezentach, a nawet wierszach dla nich o nich napisanych.

Bardzo wdzięcznym i częstym tematem anegdoty teatralnej są tak zwane przejeżdżenia się, czyli „wpadki”. Są aktorzy już z nazwiskiem o dużej rutynie scenicznej, którzy mają specjalne szczęście, czy nieszczęście do owych „wpadek”. Jednym z takich był właśnie utalentowany aktor, kilkunastu dyrektorów teatru krakowskiego — Józef Kotarbiński. O Józefie Kotarbińskim i o jego przejeżdżeniach, można by spokojnie napisać całe tomy.

Oczywiście, wśród anegdot autentycznych znajdują się i te, które koledyzki dokonomponowali z własnej już fantazji. W tragedii Fryderyka Hebbela „Judyta” — Holofernes, którego właśnie grał Kotarbiński, pyta Judytę, gdy ona się zjawia pierwszy raz w jego namiocie: „Jak się nazywasz Judyto?” na co Wysocka, grająca tytułową rolę, odpowiadała na wpoły żartobliwie, na wpoły z pasją: „Stanisława”. Oczywiście, publiczność tego nigdy nie zauważyła. W tej samej Judycie Hebbela, Kotarbiński pyta: „Co ci się stało Judyto, zbladłaś? Kotarbiński najspokojniej w świecie pyta:

— Co ci się stało Judyto, zjadłaś? Kotarbiński miał to teatralne doświadczenie, że nigdy swoich wyspek, swoich przejeżdżeń nie poprawiał. A publiczność jest tak miła i... rozlagniona, że nigdy tego nie zauważyła.

Istnieją w teatrze specjalne anegdoty, które by można nazwać anegdotami wedrownymi czy „wedrującymi”. Tak ja je przynajmniej nazywam. To są te anegdoty, których bohaterami stają się coraz to

inni artyści. W swojej uroczej książce „Świat aktorski moich czasów”, Adam Grzymała-Siedlecki opowiada anegdotę o Marii Przybytko-Połockiej, która występując w Radomiu, zwróciła się do Totumfackiego owego teatru, rekwizytora Kozika: — Panie Kozik, tylko żeby były pacuszki.

Aktorka w sztuce powracała z miasta, prawdopodobnie w „Norze” Ibsena z całą masą paczek. Ów Kozik, figura także legendarna, odpowiada: „paciuszki będą, paciuszki będą, pani odpowiedź spokojna”. I rzeczywiście, przy drzwiach, którymi artystka miała wejść na scenę, postawił cały stos paczek. Aktorka straszona wbiegła na scenę, zapominając o łyżkach paczkach, do których przywiązywała taką wagę. Kozik powiedział wówczas:

— Panie Kozik paciuszki, panie Kozik paciuszki, a jak przyszło co do czego, krowienie o paciuszki zapomnieli.

Jak zaznaczyłem, Siedlecki anegdotę tę przypisuje Marii Przybytko-Połockiej.

Ja ją słyszałem o innej wybitnej artystce, o Natalii Siennickiej, która miała ten wypadek, właśnie w roli Nory.

Jest inna anegdota o aktorze, która po śmierci dostała się do nieba i zapukała do furty; zjawił się święty Piotr i zapytał: „Czym byłaś duszo na ziemi?” — Aktorka. — Aktorem nie przyjmujemy. Tylko to plotkuję i kokietuję aniołów, nie przyjmujemy.

Biedactwo przysiadło pod furką niebieską i płało. Nadszedł Pan Jezus.

— Czemu tak płaczesz dziecko? — zapytał.

— Zbawicielu, jakże ja nie mam płakać, kiedy święty Piotr nie chce mnie wpuścić do nieba. Pan Jezus zawołał św. Piotra.

— Dlaczego ty nie chcesz wpuścić tej duszy do nieba? —

— Zbawicielu, ona była aktorką.

— Ależ dajże spokój, przecież to żadna aktorka”. Anegdotę tę słyszałem przynajmniej 4 razy w moim życiu i za każdym razem bohaterką była inna aktorka, zależnie od pomysłowości i złośliwości opowiadającego.

We Lwowie, na scenie teatru, pamiętam taki incydent.

Na wspaniałym, jednym z najwspanialszych, jakie zapamiętałem, przedstawieniu wielkiego dramatu Ibsena „Brand” grali najlepsi artyści. Adwentowicz grał tytułową rolę, Wanda Siemaszkowa Agnieszka, Róża Łuszczykiewiczówna na wpoły zwirowaną dziewczynę Gerd. Nawet małeńki drobny epizod Cyganki, jedną scenę, wspaniale grała Leonia Barwińska. Brand jak wiadomo, kończy się tym, że Gerd strzela, czego w górach w zimie nie wolno robić, na strzał urwa się lawina i zasypuje scenę, grabież bohatera. W pewnej chwili, kiedy lawina ma się zwałić, na scenę, raptownie, w połowie drogi staje. Jakie było wrażenie, wysłarzyć powiedzieć, że nikt na widowni, jak zwykle w takim wypadku, nie śmiał się. Była największa zupełna cisza. Nagle wśród tej ciszy, która „aż dzwoni”, odzywa się głos inspicjenta: „Panie Ignac, ciągnij pan do winkla”. Wraz z lawiną runął huragan śmiechu. Wtedy już nie wytrzymała ani publiczność, ani aktorzy na scenie.

Anegdoty teatralne mają jeszcze inne, specjalne znaczenie, a mianowicie anegdota stanowi w teatrze jak gdyby rodzaj piorunochronu, powoduje odprężenie.

Jeden z wybitnych krytyków, znający doskonale teatr, twierdził zawsze, że „teatr to jest plotka i intriga w permanencji”. Otóż anegdota teatralna jest tym piorunochronem, który bardzo często intrygę, czy plotkę zmienia w miniaturę scenki — w żywą anegdotę. I to jest jej drugie, bardzo ważne i wdzięczne zadanie. Dodać należy, że anegdoty nie są rzeczą błahą, jakby to się na pozór mogło zdawać, one także stanowią pewien, na pewno nie najważniejszy, ale zawsze przyczynek, zarówno do historii teatru, jak i do poznania samej psychiki aktorów, bo im sławniejszy aktor, tym gęstszy otacza go krąg anegdot i legend.

Pamiętnik niezupełnie fikcyjny

Pozwólcie, że się przedstawię: kierowca, czyli — jak się mówiło przed wojną — szofer, z I kategorii. Jeżdżę „Warszawą” ale nie „na taksie”, lecz jako kierowca wozu służbowego, do dyspozycji dyrektora instytucji XY w Poznaniu.

Cóż mogę powiedzieć ciekawego? Normalna rzecz: siedzi się za kółkiem i jeździ, gdzie każe. Moja życiowa dewiza: nigdy nie pyłać za wiele, nie dziw się niczemu i miej dobry humor. Wtedy jesteś „równy chłop”, choćbyś jeździł jak dziecko. A wiem, z doświadczenia, że kierowca dyrektorskiego wozu musi być przede wszystkim „równy”. Przyczynił się więc i mam prawo. Nie mrugnę okiem nawet wtedy, gdy szlag mnie trafia, tak, że szef powtarza często, iż można ze mną kraść. Ja mu wtedy mówię, że z takim dyrektorem jak on można kraść nie tylko konie. On o mnie nie wie nic, ale ja o nim — bardzo wiele. Więcej nawet, niż jego rodzona żona.

Mówi się, że sekretarka dyrektora powinna być chodzącą dyskrecją. Wobec tego ja jestem dyskrecją jeżdżącą. A przecież w wozie słyszy się niejedno i o niejednym. Nie dlatego, że mój szef jest specjalnie gadaliwy. Ale często właśnie w wozie usłusa ze swym zastępcą czy kierownikiem tego lub innego działu ostatnie szlify faktyczne. Słyszę tylko: „...zgoda, nacieramy ostrą!”, albo: „najlepiej, wiecie, przyczaimy się, zobaczymy, skąd smród wieje” — i już mogę sobie z grubszą wyobrazić, jak ta odprawa będzie wyglądała. No a kiedy wracamy, to już wiem na pewno. Jeśli szef milczy i nie opowiada starych dowcipów, wiadomo: dostał ochrzan. I wtedy, brachu,

cichutko, szybkoitko, bez wstrząsów i gwałtownego hamowania — do domu, do mamusi.

Ale tak prawdę mówiąc, to wolę go, gdy jest bez humoru. Wtedy najczęściej jeździmy w teren, na inspekcję czy coś w tym rodzaju. Na takiej jeździe człowiek lepiej z benzyną wychodzi. „Warszawa” ma normę 13 litrów latem, 14 zimą, ale w mieście to nawet 16 nie wystarczy. Wszyscy o tym wiedzą i podkreślają liczniki, gdy trzeba, żeby z normą i kierownikiem transportu żyć w zgodzie.

W terenie, gdy jazdy dłuższe, lepiej się wychodzi. Ale za to przyjeżdża

Obywatel kierowca

człowiek do jakiejś dziury, dyrcio zasuwając na tę inspekcję, a ty bracie — siedz w wozie, mroź nie mroź, bo „lada chwila wracamy”. Wiem dobrze, jak ta chwila wygląda. Przeważnie te inspekcje kończą się kolacyjkami, bo jak dobre wyniki — jest okazja do popicia, jak złe — to samo, jako że trzeba zwierzchnika jakoś udobruchać. Przy kielichu rozwiązują się języki, lepiej więc, gdy kierowca zostanie w wozie. Siedzę więc i krew mnie zalewa, bo człowiek też chciałby wypić, nie wódę, ale chociaż ciepłą herbatę. Nareszcie szef otwiera drzwiczki — jeździmy. Humorek ma, nie powiem, choć czasem rozżala się. „Oh, panie

Stasiu — mówi — tyle ładnych bab chodzi po świecie, a ty irzeba Irzebać fason... A przecież dyrektor też mężczyzna, no nie?” „Jasne — odpowiadam, a czy mi się kleją — jasne, panie dyrektorze!” „Widział pan też blondynkę, co? — ciągnie z rozmarzeniem. — Pan wie, jak baby na mnie leżą. Prawdą mówiąc, mój szef ma brzocho i z urodą nie tego — ale przytakuję mu, bo co mam robić?”

Bardzo nie lubię jeździć z jego żoną, np. po dzieci do przedszkola czy w jakichś innych prywatnych sprawach. Żona lubi mnie wypytywać: „panie Stasiu — cedi słodko — mąż wrócił wczoraj taki zmęczony z tej delegacji, zaraz... o której to było, o dwunastej, czy o drugiej?” Zaczynam więc wyplatać o jakimś defekcie, o pieskich objazdach, bo kierowca — wiadomo — „równy chłop”.

Nie mogę powiedzieć — mój szef mnie lubi. Ja jego w gruncie rzeczy też. Często dostaję od niego jakieś bilety do teatru kiedy sam nie idzie. Wie, że lubię czytać i co jakiś czas podrzuca mi książki. Biorę, choć to już przeważnie czytałem. Potem szef pyta: „co, dobra, książka?” „Dobra”. „Tak — wzdycha — pan, panie Stasiu, przynajmniej ma czas na czytanie, nie to co ja... Wie pan, chętnie bym się z panem zamienił...”. „Wszystko ma swoje dobre strony, — odpowiadam dyplomatycznie. — O której mam jutro przyjechać?” Szef budzi się z zamyślenia: „Jutro? Bo ja wiem... o siódmej, musowo! Dobranoc.” Otwieram drzwiczki i wiem, że będę czekał do dziewiętej. Nie szkodzi — dokończę sobie spokojnie „Annę Kareninę”...

Zebrał:

Krzysztof Monikowski

Tym razem Bergman

Dokończenie ze str. 1

skakując widza interesującymi możliwościami.

Aktorzy teatru Stanisława Hebanowskiego, których liczba przekroczyła tym razem liczbę „5”, wystąpili jak uprzednio w zaledwie markowanych kostiumach i charakterystyce. Szczególnie udaną kreację stworzyła od niedawna przebywająca w Poznaniu Hanna Golebiowska. Nie tracąc nic z kobiecości wyposażyła swoją rolę Czarownicy w jakas iście męską obiektywizację postaci.

Świetną oprawę muzyczną spektaklu skomponował Krzysztof Penderecki, osiągając przejmujący efekt z połączenia muzyki dzwonów z muzyką konkretną. Udany, odpowiedni do wymagań tekstu, nastrój spektaklu, przy użyciu bardzo prostych środków, wydobyl scenograf Jan Berdyszak. Inscenizował

całość i reżyserował Stanisław Hebanowski, twórca i animator Teatru „5”.

Jest to teatr poszukujący, odkrywcy, zaskakujący z przedstawienia na przedstawienie coraz to innymi niespodziankami. Zasięg tych niespodzianek obejmuje wszystko, reperiur, scenografię, kompozycję muzyki i całego przedstawienia. Nic więc dziwnego, że ludziska wala do Klubu „Od nowa” jak na pokaz szlucmistrza, który z przepasłych kieszeni kusego fraka wyciąga coraz to inne, coraz większe i coraz bardziej zaskakujące rzeczy.

Bergmanowskie „Malowidło na drzewie” nie dorównuje wprawdzie „Eutydemowi” Platona swoimi wartościami intelektualnymi, lecz znajduje się na pewno na linii współczesnych poszukiwań artystycznych, służących zbliżeniu do problemów wybitnych dzieł człowieka myślącego.

FELIKS FORMALCZYK

Z TEK ST. MROWIŃSKIEGO



Każdy bywalec Teatru Satyry bez trudu pozna w tej karykaturze popularnego aktora tego teatru Mariana Pogaszę. Jest to nowy rysunek utalentowanego poznańskiego karykaturzysty Stanisława Mrowińskiego, którego dzieła już indywidualna wystawa, tym razem pod nazwą „Ludzie Poznania”, eksponowana jest od kilku dni w lokalach TAMM przy Starym Rynku 10.



Głos Ministra Sprawiedliwości

Długi i bardzo interesujący cykl „Criminale tango” kończy tygodnik *Polityka* rozmową Zygmunta Szeligi z ministrem sprawiedliwości Marianem Rybickim. Przypominamy, że wspomniany cykl poświęcony był walce z przestępczością gospodarczą, oraz zakładom penitencjarnym. Minister mówi w swym wywiadzie o walce z przestępczością gospodarczą o surowych minimach kar, o metodach walki z drobnymi przestępstwami przeciwko mieniu społecznemu, o efektach, o sytuacji kadrowej w sądach, o ciasnocie w więzieniach z powodu zlikwidowania wielu zakładów itp.

Minister M. Rybicki, odpowiadając na pytanie dotyczące surowych kar, gdy szkoda wyrządzona przestępstwem w mieniu społecznym przekracza granicę 50 i 100 tysięcy złotych, tak uzasadnia konieczność karania:

„Opinia uczciwych ludzi, a szczególnie opinia robotników kładła na ten (...) czynnik największy nacisk. Zagrabienie setki tysięcy złotych, to pamiętaj, że żadne okoliczności łagodzące, żaden najlepszy obrońca nie uchronią cie od surowej kary, to jest minimum 8 lat więzienia i konfiskaty majątku. Stąd te dołne granice kar. Prawdopodobnie w przyszłości, gdy mienie społeczne przestanie być w lepszej ochronie, gdy zmieni się świadomość obywateli w tym zakresie, możliwe będzie odejście od tych sztywnych granic kar.”

Ten słuszny pogląd warto jeszcze uzupełnić stwierdzeniem, że dużą rolę w zwalczaniu przestępstw gospodarczych spełniają kary grzywny,

często bardziej odstraszające niż kara więzienia. Te dwa rodzaje kar są znacznie skuteczniejszym hamulcem dla potencjalnych przestępców niż sama groźba więzienia. Ale same kary nie wystarczą w łepieniu złodziei naszego mienia. Trzeba również zdecydowanej postawy społeczeństwa. I to jest chyba ważniejsze od najsurowszych nawięk.

Wielkie problemy małych miast

Taki tytuł nosi opublikowany w *Tygodniku Demokratycznym* artykuł Tadeusza Wałkowskiego, który rozpoczyna swe rozważania na temat ciągłej jeszcze stagnacji małych miasteczek od wycieńczenia, z którego wynika, że na 745 miast (bez osiedli) aż 630 liczy poniżej 20 tysięcy mieszkańców i że w tych miastach żyje około 33 proc. ludności miejskiej. Autor pisze:

„Szereg małych miasteczek podupada (...) O ile w 1950 roku miasta do 5 tysięcy ludności zamieszkiwało ponad milion osób, to w dziesięć lat później już tylko 900 tysięcy.”

T. Wałkowski wskazuje na drogi zastyżowania małych miasteczek. Widzi je w rozwoju spółdzielczości pracy, która powinna zwiększyć produkcję drobnych przedmiotów codziennego użytku; widzi je też w większej niż dotychczas inicjatywie przemysłu terenowego oraz w możliwościach lokalizowania w małych miasteczkach fabryk przemysłu kluczowego, który jakoś wykazuje w tym kierunku duże opory i niechęci. Autor wykazuje, że jest to dla zjednoczeń dobry interes, bo w takich miasteczkach daleko łatwiej o siłę roboczą. Przy tym korzyść dla miasteczek — oczywiście. Dużą rolę spełnić też może właściwa koordynacja pracy danej branży.

„Aktywizacja gospodarcza — kończy swój artykuł — upośledzonych dotychczas rejonów (jest) nie tyle „filantropia” w stosunku do nich, ile ekonomicznie w pełni efektywnym działaniem, przynoszącym korzyści całej gospodarce.”

Ważną misję mają chyba do spełnienia tak zwane zjednoczenia wiodące, na przykład Zjednocze-

nie Przemysłu Meblarskiego, mające swą siedzibę w Poznaniu. Mogłoby ono przyczynić się do jeszcze większego rozwoju spółdzielczych i terenowych zakładów produkujących meble w województwie poznańskim.

Medycyna współczesna

Ostatni numer tygodnika społeczno-kulturalnego *Argumenty* poświęcony jest w całości zagadnieniom medycyny współczesnej. Oto tytuły najciekawszych pozycji: *Leccnictwo i człowiek* (rozmowa z wiceministrem zdrowia i opieki społecznej dr. B. Bednarskim), *Nieśmiertelność na zamówienie*, *Młodność i płeć*, *Lekarz a znachorzy*, *Przychodzącym na świat*. Dodajmy, że autorami większości pozycji są naukowcy i lekarze specjaliści.

Nie zabrakło także w „Argumentach” głosu znanego naukowca i świetnego popularyzatora zagadnień prawnych, prof. dr. Jerzego Sawickiego, kierownika Katedry Prawa Karnego Uniwersytetu Warszawskiego. W wywiadzie p. *Paragrafy i lekarze* mówi on o kodeksie etyki zawodowej lekarza a równocześnie stwierdza, że najbardziej precyzyjne paragrafy nie mogą przewidzieć wszystkich okoliczności w jakich może się znaleźć i lekarz, i jego pacjent. Mówi też o tym, jak postępować, aby socjalistyczna służba zdrowia gwarantowała wysoki poziom opieki nad chorym, a z drugiej strony nie ulegała procesowi swoistej dehumanizacji, której dogodne warunki stwarza wysoki poziom nauki i techniki.

Ostatnie wydanie „Argumentów” na pewno zainteresuje nie tylko świat lekarski i prawniczy, ale wszystkich ludzi interesujących się zagadnieniami współczesnego życia. Zachęcam do przeczytania i życzę przyjemnej lektury.

Poetom wstęp wzbroniony!

Redakcja Nowej Kultury zamieszczając w ostatnim numerze artykuł Anny Kamińskiej o percepcji nowej poezji przez nauczycieli licealnych za-

Eugeniusz Paukszt

Ze znaczkami PIW

Na pierwszy ogień chyba książki pisarzy amerykańskich, wielkiej trójki: Faulknera, Hemingwaya i

Caldwella. „WIELKI LAS” Williama Faulknera, to opowieści zagęszczone w dramatyzmie, w poszukiwaniu podkładów psychicznych czynów ludzkich, w tropieniu za Ameryką nie tą oficjalną, ale i tamtą, nad Missisipi, w lasach, w ciemni dawnej i niedawnej historii, tworzonej przez różnych ludzi. „ROGI BYKA” Ernesta Hemingwaya, to dalsze opowiadania z cyklu, którego pierwszą część poznałszy w tomie „ŚNIEGI KILIMANDZARO”. „CHŁOPIEC Z GEORGII” Erskine Caldwell, należy do najpopularniejszych utworów pisarza, świat ukazany jest oczyma 12-letniego „cwaniego” chłopca z Południa ze środowiska „biednych białych”, pełno tu swoistego humoru, niemniej gryzącego sarkazmu, w sumie kapitalna, choć nieco lżejsza lektura.

Literature angielską reprezentuje tym razem Margharita Laski w powieści „ZAGINIONE DZIECKO”, subtelnej w odsłanianiu warstwy przeżyć ojca, odnajdującego zaginione dziecko, ale i ciągle jeszcze nie mającego pewnością, czy się nie myli, stanowiącej w pośrednim wskazaniu na tragizm i okrucieństwo wojny. Lektura bardzo angażująca emocjonalnie. Z tekstów francuskich otrzymujemy tym razem dwie książki. Poprzez wyróżnioną nagrodą Goncourtów powieść „PO-TENTACI” poznajemy Maurice Druona, autora cyklu utworów obrazujących degenerację elity mieszczańskiej lat międzywojennych. W książce swojej, pisanej wartko, Druon ukazuje Paryż na przełomie ostatniej wojny, w piaszczyźnie losów bankierskiej rodziny Schudlerów. Inny typ literatury, coś pokrewnego klimatem rollandowskiemu Colas Breugnot, reprezentuje Claude Tillier w „MOIM WUJASZKU BENIAMINIE”, wroczej, kpiarskiej książce, pełnej radości życia, ale i osadzającej je nierzaz bezlitośnie, choć z serdeczną po-błażliwością.

Inny typ humoru i optymizmu, przy wystrzonej zarazem wrażliwości społecznej, znajdujemy w świetnie napisanej opowieści o losach nędzarza-włóczęgi, rozkochanego w swym kraju — Danii i jej ludziach, pióra Hil-mara Wulffa. „SŁONECZNY WŁOCZĘGA” ma wymowną dedykację: „...towarzyszom moich licznych włóczęg, którzy nauczyli mnie, że mądrość prostych serc ma swe źródło w prawdziwej przyjaźni i radości życia”.

Do spraw mniej już radosnych, związanych czy bezpośrednio z

minioną wojną czy z jej późniejszymi echem, nawiązują dwie książki. Chciałbym zwrócić szczególną uwagę na arcyciekawą powieść młodej pisarki niemieckiej Ruth Kraft „WYSPA BEZ SWIATEŁ”, dobrze napisaną, niemal sensacyjną w warstwie pewnego autentyku, obrazie dziejów zamaskowanej wysepki, na której przygotowuje się śmiercionośne V-2, a gdzie obok naukowców, planujących z premedytacją masowe mordy, znajduje się przypadkiem młoda dziewczyna niearyjskiego pochodzenia. Karel Josef Benes, znany prozaik czeski, w nowej powieści „SPOTKANIE W KARŁOWYCH VARACH” próbuje odświeżyć te środowiska powojenne inteligencji zachodniemiejskiej, które stają się nie na od-

kupienie win narodowych, ale na zapomnienie. Dzieje młodej Czeszki, porwanej przez Gestapo, znajdujące miejsce w domu niemieckiego prokuratora, a u progu kariery filmowej stykającej się na festiwalu w Karłowach Varach z prawdą o sobie, są nie tylko bogate w warstwę dramatyczną, ale i dopowiadają jeszcze jedną prawdę o minionej przeszłości.

Z przekładów z rosyjskiego mamy również kilka doskonałych nowości. Przede wszystkim wymienilibym Ilię Tołstoję „WSPOMNIENIA O MOIM OJCU”, gdzie z wielką uniwersalnością syn uśpianego pisarza odzwierciedla klimat rodzicielskiego domu, pozwalając bliżej wnikać przez to w twórczość autora „Wojny i Pokoju”. Dobrze się stało, że PIW użyczył też w nowym przekładzie J. Jędrzejewicza bardzo popularną u nas przed wojną powieść historyczną Aleksandra K. Tołstoję „KSIĄŻĘ SREBRNY”, próbę ukazania problematyki moralnej czasów Iwana Groźnego, gdzie barwa tła, atrakcyjność fabuły, śliczny język, idą o lepsze z wielkim humanizmem w ujmowaniu złożonego zagadnienia wia-dzy. Polecić także warto powieść Wiktora Niekrasowa „KIRA”, ukazującą niebiały problem pogmatwań w pożyciu dwojga ludzi, na skutek niesłusznego zesłania jednego z nich, odnajdujących się dopiero po 20 latach, gdy przeżyli, charaktery, zaangażowania oddaliły ich od siebie i postawiły bariery nielatywne do przebycia. Wil Lipatow, reprezentant najmłodszego pokolenia prozaików radzieckich, w powieści „WILCZE ZIELE”, na tle wielkich przemian dokonujących się ostatnio na Syberii, ukazuje panoramę życia drwali i narastających w trudnym życiu konfliktów moralnych. Jest tutaj tak-że niemało z nowego nurtu literatury radzieckiej, stawiającego na człowieka i jego sprawę.

prasa do dyskusji na ten temat i apeluje o wypowiedzi przede wszystkim nauczycieli-polonistów oraz krytyków i poetów.

„Z powodu (...) proponowanych zmian programowych ujawni się stosunek szkoły do tzw. poezji współczesnej (...) Krytyka poezji współczesnej, jaka wychodzi z kół nauczycielskich, z jaką spotykamy się w osobistych kontaktach i na niektórych spotkaniach autorskich — nie jest to zlekceważenie (...) Myślę, że przekroczyliśmy pewną granicę bezodpowiedzialności poczynając literackich. Trzeba wysłuchać krytyki, jeśli ona posiada jakieś minimalne argumenty, czyli wynika nie tylko z niedouczenia (...) Dokonuje się coraz ostrzejszy i jaskrawszy podział sztuki na sztukę przyjemną, lekką, rozrywkową i na tę drugą — o większych ambicjach artystycznych i myślowych, sztukę poszukującą i zadrążającą świadomą tendencję ekskluzywności.”

Autorka (poetka) idzie w swych rozważaniach dalej: twierdzi, że poezja współczesna stała się nawet niezrozumiała dla wielkiej części tej elity, która jest naturalnym odbiorcą sztuki.

Temat na pewno godny przedyskutowania, tym bardziej że od dawna już rozlegają się głosy o niezrozumiałości nie tylko poezji, ale również innych dziedzin sztuki.

Amerykański Volkswagen

W kolejnej korespondencji z USA Zygmunta Broniarek zaszewnia się na łamach *Przeglądu Kulturalnego* na temat Dlaczego Ford wypuszcza amerykański Volkswagen, który w końcu lata ukaże się na rynku. Warto dodać, że tego typu samochodu nikt dotychczas w USA nie produkował. Będzie to odpowiednik „Volkswagena” z silnikiem importowanym prawdopodobnie z Niemiec zachodnich. Geneza tego przedsięwzięcia ma głębsze podłoże w swoistych kłopotach amerykańskiej gospodarki, której daje się we znaki automatyzacja. Ta sama automatyzacja w wielu innych krajach uważana byłaby za błogosławieństwo.

LEKTOR